



GRÓB
MOJEJ
SIOSTRY

ROBERT
DUGONI

Rozdział 1

Instruktor od wyszkolenia taktycznego w akademii policyjnej lubił ich dręczyć podczas porannej musztry powtarzaniem, że waga snu jest mocno przeceniana.

– Nauczycie się żyć bez niego – mawiał.

Oczywiście kłamał.

Sen był jak seks – im było go mniej, tym bardziej go brakowało, a ostatnio Tracy Crosswhite nie uskarżała się na nadmiar jednego ani drugiego.

Rozprostowała ramiona i kark. Nie miała czasu na poranne bieganie, więc była usztywniona i jeszcze się całkiem nie obudziła, choć nie pamiętała, by za dużo spała, jeśli spała w ogóle. Mniej fast foodu i kofeiny, powiedział jej lekarz. Dobra rada, tyle że prawidłowe odżywianie i ćwiczenia wymagają czasu, a tego w trakcie śledztwa zawsze jej brakowało, ograniczenie ilości kofeiny zaś byłoby jak odcięcie dopływu benzyny do silnika. Bez kawy chyba by umarła.

– O, Profesorka coś dziś wcześniej. Ktoś umarł?

Vic Fazzio naparł swą imponującą masą na ściankę jej boksu. Żarcik od lat funkcjonował w ich gronie, ale wypowiedany chrapliwym głosem i akcentem z New Jersey, nie przestawał śmieszyć. Dzięki szpakowatym i gładko przylizanym włosom oraz mięsistej twarzy Fazzio – nazywany przez wszystkich, łącznie z nim samym, Makaroniarzem – mógłby bez trudu wystąpić w gangsterskim fil-

mie w roli mrukliwego mafijnego osiłka. W jednej ręce trzymał stronicę „New York Timesa” z krzyżówką, w drugiej książkę z biblioteki – wyraźne znaki, że kawa zrobiła swoje. Wiadomo było, że gdy Faz zasiądzie na tronie, nikt przez dłuższy czas nie będzie mógł skorzystać z toalety. Potrafił siedzieć w kabynie pół godziny, szukając w myślach haseł do krzyżówki lub wczytując się w jakiś szczególnie pasjonujący fragment książki.

Tracy podała mu fotografię z miejsca przestępstwa, którą tego ranka wydrukowała.

- Tancerka z Aurory – rzuciła.
- Słyszałem. Komuś coś odbiło, nie?
- Widywałam już gorsze jatki na tle seksualnym.
- Zapomniałem, że zrezygnowałaś z seksu na rzecz śmierci – powiedział.
- Śmierć jest łatwiejsza – odrzekła, wykorzystując inną z jego ulubionych odzywek.

Tancerkę, niejaką Nicole Hansen, znaleziono związaną w pokoju w tanim motelu przy Aurora Avenue, w północnym Seattle. Ktoś jednym końcem sznura obwiązał jej szyję, przeciągnął go wzdłuż kręgosłupa i drugim końcem spętał ręce i nogi, wykazując nie lada pomysłowość. Tracy wzięła do ręki raport patologa.

- „Ofiarę zaczęły nękać bolesne skurcze w kończynach i by sobie ulżyć, starała się je prostować. To powodowało zaciskanie pętli i dziewczyna praktycznie sama się dusiła” – przeczytała. – Dobre, co?

Faz przyjrzał się fotografii.

- Nie sądzisz chyba, że zawiązałby sznur na kokardkę lub coś w tym rodzaju, żeby mogła się uwolnić?
- Byłoby to logiczne.
- To jaką masz teorię? Facet ją związuje, a potem siada i z lubością się przygląda, jak umiera?
- Albo zawałił sprawę, spanikował i zwał. Jedno jest pewne: sama się nie związała.
- A może właśnie tak? Może była nowym wcieleniem Houdiniego?
- Houdini uwalniał się z więzów, Faz. Na tym to polegało. –

Tracy wzięła od niego fotografię i rzuciła na biurko. – No i teraz siedzę tu o tej niehumanitarnej porze. Tylko ty, ja i poranne świerszcze.

– Ja i świerszcze jesteśmy tu już od piątej, Profesorko. Znasz to powiedzenie: poranne ptaszki wydziobują więcej robaków.

– Tak, no cóż, ten konkretny poranny ptaszek jest tak skonany, że nie dojrzałby robaka, nawet gdyby ten wylazł z ziemi i ugryzł go w tyłek.

– A co z Kinsem? Dlaczego ty sama się z tym borykasz?

Spojrzała na zegarek.

– Miejmy nadzieję, że właśnie kupuje mi kawę. Chociaż tak się z tym guzdrze, że równie dobrze mogłam to sama zrobić. – Spojrzała na tytuł książki. – *Zabić drozda?* Imponujesz mi, kolego.

– Chcę się dowartościować.

– Żona ci kazała, przyznaj się.

– Jasne. – Faz oderwał się od ścianki boksu. – Dobra, czas na mnie. Drozd już śpiewa, a ja aż pękam w szwach.

– Oszczędź mi szczegółów, Faz.

Zrobił parę kroków, po czym stanął i z ołówkiem w dłoni się obejrzał.

– Hej, Profesorko, pomocy. Coś, co czyni gaz ziemny bezpieczniejszym, na cztery litery.

Przed zmianą zawodu i wstąpieniem do akademii policyjnej Tracy była nauczycielką chemii w liceum, co zresztą było źródłem jej ksywki.

– Tiol – powiedziała.

– Co?

– Tiol. Substancja używana do nawaniania gazu ziemnego, dzięki czemu nieszczelność instalacji gazowej można wyczuć nosem.

– Żartujesz. I czym to śmierdzi?

– Siarką. Jak zgniłe jaja. – Tracy przeliterowała słowo.

Faz zwilżył koniuszek ołówka i wpisał je do krzyżówki.

– Dzięki – rzucił.

Chwilę po jego odejściu do pomieszczenia zespołu A wszedł Kinsington Rowe i wręczył Tracy jeden z dwóch dużych kubków.

– Przepraszam – bąknął.

– Już chciałam wysłać ekipę poszukiwawczą.

Zespół A stanowił jedną z czterech czteroosobowych ekip śledczych w Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych i składał się z Tracy, Kinsa, Faza i Delma Castigliano, drugiego obok Faza krzykliwego Włocha w zespole. Wszyscy czworo siedzieli zwrócieni do siebie plecami przy biurkach ustawionych w narożnych boksach, bo Tracy tak wołała. Dział zabójstw jest jak akwarium i każda odrobina prywatności jest na wagę złota. Środek pomieszczenia zajmował duży drewniany stół, pod którego blatem było miejsce na akta. Teczki z dokumentacją aktualnie prowadzonych spraw piętrzyły się na poszczególnych biurkach.

Tracy pieszczotliwie objęła kubek.

– Chodź do mamusi, ty słodko-gorzki nektarze bogów – wyszeptwała czule, pociągnęła pierwszy łyk i zlizwała piankę z górnej wargi. – To co tak długo?

Kins skrzywił się i usiadł. Miał za sobą cztery lata gry w uniwersyteckiej drużynie futbolowej i roczną karierę w NFL na pozycji biegacza, którą przerwała błędnie zdiagnozowana kontuzja, co w rezultacie doprowadziło do zwyrodnienia stawu biodrowego. Wiadomo było, że bez operacyjnej wymiany stawu się nie obejdzie, jednak zwlekał z podjęciem decyzji, by – jak twierdził – zrobić to raz a dobrze. Na razie zmagał się z bólem, wspomagając się żuciem advilu.

– Tak cię boli? – zatroszczyła się Tracy.

– Najbardziej, kiedy robi się zimno.

– No to daj to sobie zoperować. Na co czekasz? Podobno to już teraz rutynowy zabieg.

– Jak lekarz zakłada maskę na twarz i mówi ci „dobranoc”, nic nie jest rutynowe.

Odwrócił głowę i ponownie się skrzywił, jakby nie chodziło tylko o ból w biodrze. Po sześciu latach pracy biurko w biurko Tracy знаła jego reakcje, miny i grymasy. Rano wystarczył jej jeden rzut oka i wiedziała, czy kolega ma za sobą ciężką noc i czy uprawiał seks. Był jej trzecim partnerem w dochodzeniówce. Detektyw Floyd Hattie, pierwszy, do którego ją przydzielono, oznajmił, że przedzej zwolni się z pracy, niż będzie pracować z babą, co zresz-

tą zrobił. Drugi partner przetrwał sześć miesięcy do chwili, gdy jego żona poznała Tracy na koleżeńskim grillu i uznała, że mąż nie może mieć tak bliskich kontaktów z wówczas trzydziestosześcioletnią singielką, blondynką, metr siedemdziesiąt osiem.

Gdy Kins zgłosił się na ochotnika do partnerowania Tracy, była trochę zaniepokojona.

– Fajnie, ale co z twoją żoną? Nie będzie z nią pieprzonego problemu? – spytała.

– Mam nadzieję, że nie. Jak się ma trójkę dzieci w wieku do ośmiu lat, to człowiekowi rzadko takie rzeczy w głowie.

Uznała wtedy, że się dogadają. Ustalili żelazną zasadę, że obowiązuje ich absolutna szczerść. I żadnego dąsania. Od sześciu lat się tego trzymali.

– Coś cię jeszcze gryzie, Kins?

Westchnął i spojrzał jej prosto w oczy.

– W korytarzu zatrzymał mnie Billy – powiedział. Sierżant Billy był ich bezpośrednim zwierzchnikiem, szefem zespołu A.

– Mam nadzieję, że trzymanie mnie bez kawy miało istotny powód. Bo nawet za mniejsze przewinienia mogą zabić.

Kins nie uśmiechnął się jednak. Z pokoju zespołu B dochodziły odgłosy porannych wiadomości telewizyjnych, na jednym z biurek dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał.

– Coś w związku z Hansen? Szefostwo daje Billy’emu popalić? – spytała.

Pokręcił głową.

– Dzwonili do Billy’ego z biura patologa. – Poszukał wzrokiem jej oczu. – Dwóch myśliwych natknęło się w pobliżu Cedar Grove na ludzkie szczątki.

Rozdział 2

Palce Tracy z niecierpliwości aż dygotały. Zrywające się raz po raz podmuchy lekkiego wiatru rozwiewały na plecach poły jej wysłużonej wiatrówki. Czekala, aż wiatr się uspokoi. Po dwóch dniach Mistrzostw Stanu Waszyngton w Kowbojskim Strzelaniu w roku 1993, do końca została tylko jedna konkurencja. Dwudziestodwuletnia Tracy miała już na koncie trzy tytuły mistrzowskie, jednak w ubiegłym roku przegrała z Sarą, swoją o cztery lata młodszą siostrą. W tym roku obie dotarły do finału, praktycznie lęb w lęb.

Prowadzący zawody przysunął stoper do ucha Tracy.

– Czekamy, Crossdraw – powiedział. Jej kowbojski pseudonim nawiązywał do ich nazwiska oraz typu kabury, jakiej z siostrą używały.

Tracy lekko opuściła rondo stetsona, zaczerpnęła głęboko powietrza i nabożnie wymruczała kwestię z najlepszego westernu, jaki kiedykolwiek nakręcono: „Bierz się do roboty, ty sukinyń!”.

Stoper piknął ostrzegawczo.

Prawą ręką wyszarpnęła colta z lewej kabury, odciągnęła kurek i wystrzeliła. Niemal równocześnie lewą ręką wyciągnęła drugi rewolwer i strzeliła do drugiej zastawki. Wpadła w rytm i nabrała takiej płynności ruchów, że w huku wystrzałów niemal nie słysząc było brzęku opadających zastawek.

Prawa ręka. Kurek. Strzał.

Lewa ręka. Kurek. Strzał.

Prawa ręka. Kurek. Strzał.

Przeniosła wzrok na dolny rząd zastawek.

Prawa, strzał.

Lewa, strzał.

Trzy ostatnie strzały nastąpiły tuż po sobie. Bam. Bam. Bam. Tracy zrobiła młynka oboma coltami i odrzuciła je na drewniany stół.

– Czas stop!

Kilku widzów zaczęło bić brawo, jednak oklaski szybko ucichły, bo stopniowo zaczęło do ludzi docierać to, o czym ona już wiedziała.

Dziesięć strzałów, ale tylko dziewięć brzęknięć.

Piąta zastawka w dolnym rzędzie nie opadła.

Tracy spudłowała.

Trzech stojących obok sędziów uniosło na potwierdzenie po jednym palcu. Pudło będzie ją drogo kosztować – pięć sekund karnych dodanych do łącznego wyniku. Tracy wlepiła wzrok w sterczącą zastawkę. Aż nie wierzyła własnym oczom, ale wiedziała, że od samego patrzenia zastawka nie opadnie. Niechętnie zebrała ze stołu rewolwery, wsadziła do kabur i opuściła stanowisko.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Sarze.

– Teraz ty, Mała.

□ □ □

Ich rozchwierutane, sklecone własnoręcznie przez ojca wózki na broń i amunicję turkotały i podskakiwały na nierównościach, ciągnięte przez Tracy i Sarę po wysypanym żwirze parkingu. Niebo nad ich głowami gwałtownie się zaciągnęło i wyglądało, że burza zacznie się wcześniej, niż to zapowiadano w prognozie pogody.

Tracy otworzyła kluczykiem swego niebieskiego kampera, opuściła tylną klapę i spojrzała na siostrę.

– Co to, do diabła, miało być? – burknęła, nie próbując nawet ukryć złości.

Sara wrzuciła kapelusz do środka i potrząsnęła głową, rozpuszczając długie blond włosy na ramiona.

– Znaczy, co?

Tracy uniosła srebrną klamrę mistrzyni.

– Od lat nie zdarzyło ci się dwa razy spudłować. Masz mnie za głupią?

- Wiatr podbił mi rękę.
- Jesteś wstrętną kłamczuchą, wiesz o tym?
- A ty wstrętną zwyciężczynią.
- Bo wcale nie zwyciężyłam. To ty mi dałaś wygrać. – Tracy oczekiwała, aż dwóch widzów chcących dotrzeć do samochodu przed pierwszymi kroplami deszczu przejdzie szybkim krokiem obok nich.
- Masz szczęście, że nie było przy tym taty. – Dwudziestego pierwszego sierpnia wypadła dwudziesta piąta rocznica ślubu rodziców i James „Pan Doktor” Crosswhite nie był gotów oznajmić żonie, że spędzą ją na strzelnicy w stolicy stanu, a nie na Hawajach. Tracy trochę już przeszła złość, ale widać było, że nie całkiem. – Rozmawialiśmy o tym. Powiedziałam ci, że obie staramy się na maksa, bo inaczej ludzie pomyślą, że wynik jest ustawiony.

Nim Sara zdążyła odpowiedzieć, na żwirze zachrząściły opony. Tracy odwróciła głowę i spojrzała na Bena, który objechał swoim białym pick-upem jej forda kampera i uśmiechnął się do nich z kabiny. Choć spotykał się z Tracy już od roku, nadal za każdym razem witał ją uśmiechem.

- Jeszcze pogadamy o tym, jak wrócę do domu – powiedziała Tracy, ruszając w stronę pick-upa, by przywitać się z Benem, który zdążył już wysiąść i włożyć skórzaną kurtkę, gwiazdkowy prezent od Tracy. Pocałowali się.

- Przepraszam za spóźnienie. Ten, co zakazał picia podczas jazdy, widać nigdy nie jechał przez Tacomę w godzinach szczytu. Marzę o piwie. – Tracy poprawiła mu kołnierz kurtki, a on spojrzał na kłamrę w jej ręce. – Hej, wygrałaś!

- No, wygrałam. – Jej wzrok powędrował ku siostrze.

- Cześć, Sara.

- Cześć, Ben.

- Gotowa? – spytał, spoglądając na Tracy.

- Daj mi jeszcze minutkę.

Tracy zdjęła kurtkę i czerwoną bandanę, wrzuciła je do kampera, po czym przysiadła na krawędzi klapy i uniosła nogę, by siostra ściągnęła z niej but. Niebo zupełnie już poczerwiało.

- Nie podoba mi się, że masz jechać sama w taką pogodę – mruknęła.

Sara wrzuciła but do środka, a gdy Tracy wystawiła drugą nogę, chwyciła za obcas i pociągnęła.

– Mam osiemnaście lat. Myślę, że mogę się sama odwieźć do domu. I już zdarzyło mi się jeździć w deszczu.

Tracy spojrzała pytająco na Bena.

– Może powinna pojechać z nami.

– Kiedy ona wcale nie chce. Nie chcesz tego, prawda?

– Nie, z całą pewnością nie chcę – parsknęła Sara.

Tracy włożyła buty na płaskich obcasach.

– Zapowiadają burzę z piorunami – mruknęła.

– Przestań. Traktujesz mnie jak dziecko.

– Bo tak się zachowujesz.

– Bo ty mnie tak traktujesz.

Ben spojrzał na zegarek.

– Z żalem muszę przerwać tę fascynującą wymianę myśli, drogie panie, ale jeśli mamy skorzystać z tej rezerwacji, to naprawdę musimy już jechać, Tracy.

Podala mu podręczną torbę, a on schował ją do kabiny.

– Tylko jedź autostradą – rzuciła w stronę siostry. – Nie wybieraj żadnych skrótów. Będzie już zupełnie ciemno, a na bocznej drodze w deszczu będzie jeszcze mniej widać.

– Na skrót będzie szybciej.

– Nie dyskutuj ze mną. Trzymaj się autostrady i żadnych skrótów.

Sara wyciągnęła rękę po kluczyki.

– Obiecuj. – Tracy nie zamierzała dać się zbyć.

– Dobra, obiecuję. – Jej siostra przekreśliła serce na krzyż.

Tracy położyła kluczyki na dłoni Sary i zwinęła jej palce.

– I następnym razem nie puść celowo – mruknęła, odwracając się plecami.

– A kapelusz?

Tracy zdjęła swego czarnego stetsona i wcisnęła siostrze na głowę, a ta w odpowiedzi pokazała jej język. Tracy próbowała być na nią zła, ale na Sarę nie sposób było się złościć.

– Okropna z ciebie łobuzica – rzuciła, czując, jak rysy jej twarzy wbrew niej łagodnieją.

Sara rozdziawiła usta w uśmiechu.

– Ale właśnie dlatego mnie kochasz.
– To prawda, dlatego cię tak Kocham.
– Ja też cię Kocham – dodał Ben, przechylając się przez siedzenie i otwierając drzwi po stronie pasażera. – Ale będę cię kochał jeszcze bardziej, jeśli nie stracimy tej rezerwacji.

– Już idę – rzuciła Tracy.

Wskoczyła do kabiny i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ben pomachał Sarze na pożegnanie, zawrócił i ustawił się w kolejce samochodów wyjeżdżających z parkingu. Krople deszczu lśniły w światłach reflektorów jak drobiny płynnego złota. Tracy wystawiła głowę przez okno i spojrzała do tyłu. Sara stała nieruchomo w padającym deszczu i patrzyła za nimi, a ona poczuła nagłą chęć zawrócenia.

– Wszystko w porządku? – spytał Ben.

– W porządku – odparła, choć chęć zawrócenia jej nie opuszczała. Tracy przyglądała się, jak siostra otwiera dłoń z kluczykami, widzi, co Tracy jej dała, i znów spogląda na oddalającego się pick-upa.

Wraz z kluczykami Tracy wcisnęła jej do ręki swoją srebrną klamrę zwyciężczyń.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że minie dwadzieścia lat, nim znów ją zobaczy.

Rozdział 3

Szeryf Cedar Grove, Roy Calloway, wciąż miał na sobie kamizelkę do muchowego wędkowania, na głowie przynoszącą mu szczęście czapeczkę, ale myślami był już daleko od łagodnego kołysania się w płaskodennej łodzi. Prosto z lotniska pojechał na posterunek, jego nadąsana żona wtuliła się w kąt po stronie pasażera. Żadnego z nich nie ucieszyło, że muszą skrócić jego wędkarską wyprawę, ich pierwszy prawdziwy urlop od czterech lat. Gdy wysiadł przed posterunkiem, nawet nie zrobiła ruchu, by go pocałować, a on uznał, że lepiej będzie tego nie zauważyć. Wiedział, że i tak nie obejdzie się bez rozmowy przy kolacji. „Nie mogłem postąpić inaczej”, oświadczy jej, ona zaś odpowie: „Słyszę to już od trzydziestu czterech lat”.

Wszedł do sali konferencyjnej i zamknął za sobą drzwi. Jego zastępca, Finlay Armstrong, stał w mundurze khaki u szczytu stołu z surowego drewna i w świetle jarzeniówek prezentował się dość blado, ale w porównaniu z ziemistą cerą Vance'a Clarka i tak był okazem zdrowia. Siedzący przy drugim końcu stołu prokurator okręgu Cascade wyglądał na wręcz chorego. Jego kraciasta marynarka wisiała na oparciu krzesła, węzeł krawata był rozluźniony, kołnierzyk koszuli rozpięty. Na widok wchodzącego Callowaya skinął lekko głową, ale nawet nie próbował się podnieść.

– Przykro mi, że szef musiał przerwać urlop. – Armstrong stał pod ścianą pokrytą boazerią i oklejoną fotografiami dotychczasowych szeryfów Cedar Grove. Zdjęcie Callowaya było ostatnie

z prawej i tkwiło w tym miejscu od trzydziestu czterech lat. Przy swym wroście metr dziewięćdziesiąt pięć mógł się nadal poszczycić potężną muskulaturą klatki piersiowej mężczyzny na zdjęciu, choć oglądając się co rano w lustrze, nie mógł nie zauważyć, że bruzdy na twarzy – niegdyś nadające męskiej twardości rysom – zamieniły się w rozmyte zmarszczki, a bujna czupryna mocno się przerzedziła i posiwiała.

– Nie wysilaj się, Finlay. – Calloway rzucił czapkę na stół, przyciągnął sobie krzesło i usiadł. – Mów, co jest.

Armstrong, wysoki i szczupły trzydziestoparolatek, pracował w biurze szeryfa od ponad dziesięciu lat i był pierwszy w kolejce do fotografii na ścianie w sali konferencyjnej.

– Rano zadzwonił do nas Todd Yarrow. Wybrali się z Billym Richmondem na kaczki i gdy przedzierali się przez dawny teren Cascadii do chatowni, Hercules coś wyczuł i poszedł w krzaki. Yarrow mówi, że nijak nie mogli się go dowołać. Kiedy w końcu wrócił, trzymał coś w pysku. Yarrow chciał mu to odebrać, myśląc, że to jakiś patyk, i pobrudził sobie rękę czymś białym i kleistym. Billy rozpoznał w tym kość, ale specjalnie się tym nie przejęli. Pomyśleli, że Hercules wygrzebał gdzieś padlinę jelenia. Pies podniósł jednak straszny raban i z głośnym szczekaniem znowu ruszył w krzaki. Tym razem poszli za nim i znaleźli go kopiącego w ziemi. Hercules znów nie dawał się przywołać, aż w końcu Yarrow chwycił go za obrozę, na siłę odciągnął i wtedy to zobaczył.

– Co zobaczył? – burknął szeryf.

Armstrong postukał w swój iPhone i obszedł stół. Calloway wyjął z kieszonki kamizelki okulary z połówkami szkieł do czytania – bez nich nie dawał już rady nawlekać much na haczyk – wziął do ręki telefon i wyciągnął daleko przed siebie. Armstrong przechylił się przez jego ramię i powiększył obraz na wyświetlaczu.

– Te białe kreski to kości. Ludzka stopa.

Były oblepione błotem jak wygrzebana z ziemi stara skamielina. Armstrong przesunął palcem po ekranie i zaprezentował serię fotografii, które pod różnymi kątami ukazywały stopę i miejsce jej znalezienia.

– Kazałem im to miejsce oznakować i poczekać przy samocho-

dzie. Wyrzebaną przez psa kość włożyli do bagażnika jeepa Todda. – Armstrong przesunął palcem kilka zdjęć i zatrzymał się na fotografii pojedynczej kości z leżącą obok latarką. – Antropolog z Seattle kazała tak zrobić – wyjaśnił. – Chodziło jej o porównanie rozmiarów. Powiedziała, że wygląda jej to na kość udową.

Calloway spojrzął na koniec stołu, ale Vance Clark siedział ze wzrokiem wbitym w blat.

– Zawiadomiłeś patologa? – spytał Armstronga.

Ten zabrał swój telefon i wyprostował się.

– Kazali mi zadzwonić do antropologa w zakładzie kryminalistyki. – Sprawdził swoje zapiski. – To kobieta, niejaka Kelly Rosa. Obiecała, że przyśle na miejsce ekipę, ale nie wcześniej niż jutro rano. Wysłałem tam Tony'ego do pilnowania, żeby inne zwierzęta nie dobrały się do kości. Trzeba będzie wysłać mu kogoś na podmieję.

– Antropolog twierdzi, że to ludzka kość?

– Nie jest pewna, ale sądząc po długości, może to być kobieca kość udowa. I widzisz to coś białego? Tę lepką maź, którą Yarrow upackał sobie ręce? – Armstrong ponownie zajrzał do notatek – Nazwała to trupim woskiem. Tkanka tłuszczowa w stanie rozkładu. Cuchnie jak gnijące mięso. Ciało musiało długo leżeć.

Calloway złożył okulary i schował do kieszonki kamizelki.

– Zaprowadzisz ich tam, kiedy się tu zjawią? – spytał.

– Jasne, nie ma sprawy – odrzekł Armstrong. – Szef też tam będzie?

Szeryf wstał.

– Zostanę tu, żeby być pod ręką. – Ruszył do drzwi po kawę, ale zatrzymało go następne pytanie Armstronga.

– Myśli szef, że to może być ona? Ta zaginiona w latach dziewięćdziesiątych?

Calloway przeniósł wzrok z Armstronga na Clarka.

– Pewnie niedługo się okaże – mruknął.

Rozdział 4

Promienie porannego słońca przebijały się przez gęste listowie drzew, rzucając cienie na wznoszące się tuż za skrajem drogi skalne urwisko. Przed stoma laty skruszono dynamitem tony skał, po czym kilofami i łopatami wytyczono drogę dla kopalnianych ciężarówek, przy okazji odkrywając liczne podziemne strumyki, które ciekły teraz po skalnej ścianie niczym łyzy, zabarwiając ją rdzawymi i srebrzystymi osadami. Tracy jechała według wskazań nawigacji, radio miała wyłączone, w głowie czuła pustkę. Biuro patologa nie dysponowało żadnymi bliższymi informacjami, Kelly Rosy nie było w pracy, a jakaś pomoc biurowa powtórzyła tylko to, co Tracy już wiedziała od Kinsa: zadzwonił do nich zastępca szeryfa Cedar Grove i przysłał zdjęcie kości wyglądającej na ludzką kość udową. Kość wykopał pies towarzyszący dwóm myśliwym w drodze do chatowni na kaczki, gdzieś wśród wzgórz w pobliżu miasteczka Cedar Grove.

Tracy zjechała znanym sobie zjazdem, przy znaku STOP skręciła w lewo i chwilę potem wjechała na Market Street. Zatrzymała się na jedynych światłach w Cedar Grove i rozejrzała po czymś, co niegdyś było jej rodzinnym miastem, a co teraz wyglądało ponuro, smętnie i całkiem obco.

□ □ □

Tracy upchnęła resztę do kieszeni džinsów, zabrała pudło z popcornem i colę z lady i rozejrzała się po holu, ale Sary nigdzie nie było.

W sobotnie poranki, gdy w kinie Hutchinsa pokazywano nowy film, Tracy dostawała od mamy sześć dolarów, po trzy dla siebie i siostry. Bilet kosztował dolara pięćdziesiąt, więc starczało im jeszcze na popcorn i coś do picia lub na lody po kinie.

– Gdzie Sara? – spytała. Miała jedenaście lat i czuła się odpowiedzialna za młodszą siostrę, choć ostatnio uległa prośbom i pozwoliła jej zabierać jej część pieniędzy na kino. Tracy zauważyła, że Sara nie wydaje swojego dolara pięćdziesiąt na popcorn i picie, tylko chowa pieniądze do kieszeni. A teraz gdzieś się zapodziała, co jednak nie było niczym niezwykłym.

Dan O’Leary poprawił na nosie grube okulary w czarnej oprawce, co robił bezustannie.

– Nie wiem – odparł, rozglądając się po holu. – Przed chwilą tu była.

– A kogo to obchodzi? – Sunnie Witherspoon trzymała pudło z popcornem i już czekała przy wahadłowych drzwiach, by wejść do ciemnej sali. – Ciągle to robi. Chodźmy już, bo uciekną nam zwiastuny.

Tracy mawiała, że jej siostrę i Sunnie łączy miłość i nienawiść. Sara kochała drażnić się z Sunnie, a ta tego nienawidziła.

– Nie mogę jej tak zostawić – powiedziała Tracy i zwracając się do Dana, dodała: – Może poszła do toalety?

– Mogę pójść sprawdzić. – Zdążył zrobić dwa kroki, zanim go olśniło. – Nie, zaraz, nie mogę.

Pan Hutchins położył ręce na ladzie.

– Powiem jej, że już weszliście, i wysłę ją za wami. Biegnijcie do środka, dzieciaki, bo spóźnicie się na zwiastuny. Dziś mamy zwiastun Pogromców duchów.

– Chodźmy już, Tracy – prychnęła Sunnie.

Tracy jeszcze raz rozejrzała się po holu. Cała Sara, żeby tak przegapić zwiastuny! Może da jej to nauczkę.

– Dobrze, proszę pana, tak zrobimy. Dziękuję, panie Hutchins.

– Mogę ci ponieść colę – zaproponował Dan. Miał obie ręce wolne, bo rodzice dawali mu tylko na bilet.

Podala mu puszkę i uwolnioną ręką nakryła popcorn, żeby się po drodze nie rozsypał. Pan Hutchins zawsze tak kopiasto napełniał

pudła jej i Sary, że ziarna aż się wysypywały. Czuli, że ma to jakiś związek z ich tatą, który opiekował się panią Hutchins cierpiącą na rozliczne dolegliwości z powodu cukrzycy.

– No wreszcie – mruknęła Sunnie. – Założę się, że wszystkie najlepsze miejsca są już zajęte.

Pchnęła tyłem wahadłowe drzwi na salę, a Tracy i Dan podążyli za nią. Światła były już zgaszone i Tracy musiała chwilę odczekać, by wzrok przystosował się do ciemności. Na sali rozlegały się chichoty i pokrzykiwania dzieci, które nie mogły się już doczekać, by pan Hutchins wszedł po schodkach do kabiny i uruchomił projektor. Kilkoro siedzących na sali rodziców próbowało bezskutecznie je uciszać. Tracy kochała sobotnie poranki w kinie pana Hutchinsa i wszystko, co się z tym wiązało – od maślanego zapachu popcornu po wiśniową wykładzinę na podłodze i pluszowe siedzenia z wytartymi podłokietnikami.

Sunnie była już w połowie przejścia, gdy Tracy dostrzegła kryjący się za rzędem krzeseł cień – za późno, by ją ostrzec.

Rozległo się głośne „Buu!” i Sunnie wydała z siebie przeraźliwy pisk, który przebił inne odgłosy na sali. Wybuch głośnego śmiechu, który nastąpił zaraz potem, był równie donośny.

– Sara! – wrzasnęła Tracy.

– Odbiło ci?! – krzyknęła Sunnie.

Światła na sali rozbłyły, co wywołało głośne buczenie widzów. Pan Hutchins wbiegł do środka i wyraźnie zaniepokojony, ruszył przejściem między siedzeniami. Na starej przetartej wykładzinie podłogowej widać było kupkę rozsypanego popcornu i leżące obok pudło w białoczerwone paski.

– To przez Sarę – jęknęła Sunnie. – Specjalnie mnie tak wystraszyła.

– Nieprawda – zaprotestowała Sara. – Po prostu mnie nie widziałaś.

– Bo ona się schowała, proszę pana. Specjalnie tak zrobiła. Ciągle to robi.

– A nieprawda – powtórzyła Sara.

Pan Hutchins obrzucił ją ponurym spojrzeniem, ale patrząc na niego, Tracy pomyślała, że nie tyle jest zły, ile stara się nie parsknąć

śmiechem.

– Sunnie, proponuję, żebyś wróciła do holu i poprosiła moją żonę o nową porcję popcornu. – Uniósł ręce ku widowni. – Przepraszam, Kochani, za minutkę opóźnienia, ale muszę pójść po szczotkę i to zamieść.

– Nie, proszę pana. – Tracy spojrzała na siostrę. – Ty pójdziesz po szczotkę i to sprzątniesz.

– Dlaczego ja?

– Bo ty tu nabałaganiałaś.

– Nieprawda! Sunnie to zrobiła.

– A ty masz to sprzątnąć.

– Nie muszę się ciebie słuchać.

– Mama oddała cię pod moją opiekę. Więc albo to sprzątniesz, albo powiem rodzicom, że chowasz te pieniądze, które mama daje ci na popcorn i lody.

Sara zmarszczyła nos i zrobiła obrażoną minę.

– No już dobrze. – Zawróciła do wyjścia, zaraz jednak stanęła i rzuciła: – Przepraszam, panie Hutchins, zaraz to zmiotę. – Po czym ruszyła biegiem do wyjścia i przez uchylone drzwi zawołała: – Halo, pani Hutchins, potrzebna mi szczotka!

– Przepraszam pana – powiedziała Tracy. – Powiem rodzicom, co tu zrobiła.

– Nie ma potrzeby, Tracy. Myślę, że zachowałaś się bardzo właściwie i twoja siostra dostała nauczkę. Ale taka przecież jest nasza Sara, prawda? Dzięki niej nikt się tu nie nudzi.

– Czasem aż za bardzo – mruknęła Tracy. – Ale staramy się ją trochę przyhamować.

– Och, nie robiłbym tego. Dzięki temu Sara jest naszą Sarą.

□ □ □

Tracy usłyszała trąbienie, spojrzała w lusterko wsteczne i dostrzegła mężczyznę w kabinie zdezelowanego pick-upa, który wyciągniętą ręką wskazywał na zawieszony nad jezdnią sygnalizator. Światło paliło się już na zielono.

Minęła budynek kina, nad którego wejściem wisiała podziurawiona kamieniami markiza, a okna, gdzie niegdyś wywieszano

plakaty reklamujące bieżące i przyszłe atrakcje ekranowe, były zabite dyktą. We wnętrzu za kasą biletową wiatr podrywał stare gazety i śmieci. Reszta parterowych i jednopiętrowych domów z cegły i kamienia, tworzących centrum Cedar Grove, była w podobnym stanie. W połowie zaślepionych okien widniały tablice „Na wynajem”; w oknie chińskiego baru, który zastąpił niegdysiejszy sklep sieci Five ‘n’ Dime, wisiało menu specjalnego zestawu obiadowego za sześć dolarów od osoby; w lokalu dawnego zakładu fryzjerskiego Freda Digasparro działał charytatywny sklep ze starzyzną, choć przy wejściu wciąż jeszcze obracał się stary walec z biało-czerwoną spiralą. Napis w oknie kawiarni reklamował kawy na bazie espresso, ale na murze nad nim nadal widniał wyblakły napis „Dom Handlowy Kaufmana”.

Tracy skręciła w prawo w Drugą Aleję i kawałek dalej wjechała na parking przed cofniętym w głąb budynkiem. Wymalowany na czarno napis na szklanych drzwiach Biura Szeryfa Cedar Grove nie spłowił i wyglądał tak jak kiedyś, jego wygląd nie budził w niej jednak żadnych ciepłych wspomnień.